

Maria Ulicka



Kończyłam szkołę podstawową. Druhna Maria Adamczyk (po mężu Stachowska, nauczycielka w Liceum Ogólnokształcącym im. Dubois, długoletnia dyrektorka Zespołu Szkół Medycznych), niewiele od nas starsza nauczycielka geografii i drużynowa, zaproponowała wyjazd na pierwszy prawdziwy obóz harcerski. Już w szarych mundurach, z obrzędowością i harcerskim ceremoniałem. Do Tucznia, koło Wałcza. Oczywiście – jedziemy całą drużyną. Przed wyjazdem – harcerskie próby. Pojedzie tylko ten, kto je przejdzie pomyślnie. Nieżyjący dziś wspaniały druh Kazik Lewandowski jest bezlitosny. Plecaki należy dobrze spakować w niezwykle krótkim czasie. Chyba nie pojedę, bo nie mam menażki. Na szczęście, pożycz mi ją Rysiek Ulicki, harcerz z „jedenastolatki”, którego poznałam dwa lata wcześniej, bo gapił się na mnie, kiedy podczas konkursu recytatorskiego mówiłam fragment „Latarnika”.

Podróż – kilka ładnych godzin w przedziałach z twardymi siedzeniami, ale przecież – niezwykle wesoła. Obóz żeński usytuowany jest przy szkole, obok cmentarza, w nocy boimy się okropnie. Druhowie obozują w głębi lasu, nad jeziorem. Któregoś dnia wybieramy się z druhną Adamczyk na „podchody” do męskiego obozu. Wszystko idzie dobrze, Ale nagle słychać trzask potrąconej suchej gałązki. Wartownicy pojawiają się natychmiast i biorą nas do niewoli. Obieramy ziemniaki i pomagamy w innych zajęciach. Po kilku godzinach druhowie odprowadzają nas do obozu. Przy dźwiękach akordeonu Witka Stachowskiego (dzisiaj, od wielu lat – redaktora muzycznego Radia Koszalin). „Oprawcy” oddają „pechowców” w ręce komendantki obozu Wandy Miller i oznajmniają, że nie warto ich podchodzić, bo na pewno nas złapią i potraktują

dużo gorzej...

Wieczorami drużna Adamczyk często przekazywała „dowodzenie” drużyną mnie, swojej przybocznej, a sama – pływała kajakiem po pobliskim jeziorze z druhem Witkiem. Już wtedy mocno „zaiskrzyło” między nimi, a dzisiaj – od kilkadziesiątu lat są małżeństwem...

Późnym lipcowym wieczorem – przyrzeczenie harcerskie. Każdy przyrzekający ma starszego opiekuna, który kładzie mu rękę na ramieniu i bierze odpowiedzialność za jego dalsze harcerskie działanie. Moim i Ryśka był Jurek Dębski, nasz wielki przyjaciel, długoletni dyrektor koszalińskiego przedsiębiorstwa zajmującego się obróbką i handlem skórami, działacz harcerski i spółdzielczości mieszkaniowej.

Z Tuczna wyjeżdżamy do Złotowa na kilkudniowy zlot. Punktem kulminacyjnym jest defilada, do której trzeba się solidnie przygotować. Harcerskie władze są z naszej defilady zadowolone.

Równy krok, jasny wzrok, buzie roześmiane, mundury wyprasowane...

Tak było i później – pod Grunwaldem, gdzie nasza chorągiew, pod wodzą Jurka Millera, zdobyła w ogólnopolskim współzawodnictwie pierwsze miejsce. Prezentowaliśmy się wtedy okazale, mieliśmy przepiękne akcesoria obrazujące nasze związki z morzem. Byliśmy młodzi, sprawni i bardzo dumni z przynależności do Ziemi Koszalińskiej. Wspomnień z Grunwaldu mam mnóstwo. Szczególnie utkwiły mi w pamięci dwa wydarzenia. Pierwsze – to piesza, kilkudniowa wyprawa z Lidzbarku Welskiego pod sam Grunwald. Było okrutnie gorąco, na szczęście Rysiek pomagał mi nosić ciężki plecak, a wieczorami śpiewał, przygrywając sobie na gitarze, „Szarą harcerkę”. Drugie – to piękne ognisko, na które przybyły ówczesne władze centralne. Siedzieliśmy na zboczach wzgórza, a w dole, nad samym jeziorem, płonął ogień, rozgrywało się historyczno-patriotyczne widowisko, śpiewała „Gawęda”. Oczywiście, okryci byliśmy pałatkami, bo, mimo upalnego dnia, wieczór nie był najcieplejszy. Ja siedziałam pod

jedną pałatką z Ryśkiem, który nawet lekko mnie obejmował...

-----

Egzamin do Liceum Ogólnokształcącego im. Dubois. Coś tam o Kochanowskim, życiorys Mickiewicza. Idzie mi dość gładko. I nagle – zupełna pustka w głowie. Gdzież ten Mickiewicz umarł? Chyba w Paryżu. Profesor Zofia Witczyńska zdumiona podnosi brwi. Na pewno w Paryżu? Na pewno – to ja nic nie wiem. Chyba przepadłam na egzaminie, bo dopiero na korytarzu przypomniałam sobie o podróży Mickiewicza do Konstantynopola. Jednak nazajutrz – jestem na liście przyjętych. W klasie pani profesor „od polskiego” Zofii Witczyńskiej.

Czas płynie bardzo szybko. Wkuwanie matematyki, która tylko dzięki wybitnym zdolnościom profesor Teresy Korolewicz jakoś wchodzi do głowy. „Czary” na chemii u profesora Trząskowskiego. Elegancki francuski z panią dyrektorką Jadwigą Jelec. Wycieczki i obozy koła geograficznego z panią profesorką Wąs. Kibicowanie meczom, w których często grał młodzieńcy profesor od wufu Lech Żyła. Regularne wizyty w teatrze, którego kolejne premiery są wielkimi wydarzeniami w życiu kulturalnym Koszalina. Sekundowanie wspaniałym przedstawieniom dopiero co powstałego „Dialogu”, dzięki któremu przeżywamy między innymi tragedię Antygony i dramat Czarowica. Konkursy recytatorskie z Henryką Rodkiewicz i Jadwigą Ślipińską w jury. Spotkania – z Wisławą Szymborską, Władysławem Broniewskim i młodym Czesławem Kuriatą. Słuchanie młodzieżowych zespołów wokalnie-muzycznych, świetnych „Krystynek” Artura Krzyżostaniaka, pierwszych piosenek Ryśka Poznakowskiego i Ryśka Ulickiego, oglądanie występów młodzieńcy Kasi Sobczyk... Koszalin jest już zupełnie innym miastem. Odbudowanym i rozbudowującym się szybko. Coraz częściej w rozmowach licealistów pojawia się pytanie – co robić dalej?

Wiosna 1961 roku była bardzo ciepła. Matura – poważna i wcale niełatwa. Wszystkie egzaminy ustne zdawaliśmy w jednym dniu. Abiturient wchodził do sali i przesuwiał się po prostu od komisji do komisji. Wychodził – spocony jak mysz. Ale najczęściej – już dojrzały, czego wyrazem było między innymi oficjalne zapalenie papierosa przed samym budynkiem szkoły.

Słoneczny brzask powitał nas po całonocnym balu maturalnym w szkolnej auli. Żegnaj szkoło! Za kilka dni wyfruniemy w świat dorosłych, do wielkich miast na studia. Ola Gaszyńska, śp. Tadek Życki i ja – wybraliśmy Kraków. Ale przecież – po kilku latach – mnóstwo byłych uczniów wróciło do Koszalina, żeby tu, w naszym pięknym mieście założyć rodziny, żyć i pracować...